

„[...] Zobaczyłem wtedy zasłonięte okna w moim rodzinnym domu, a przed domem człowieka, jak się okazało ukraińskiego wartownika. Zatrzymał nas i zapytał o hasło, wtedy jeden z Polaków podał hasło „Klucz”. Ukraińiec jeszcze o coś pytał, ale Polak rozmawiający z nim cały czas po ukraińsku, powiedział do niego: „Ty nas nie strzymuj, tylko pokaż drogę jak dojechać do...., (tu padła nazwa ukraińskiej wioski, której niestety nie pamiętam), bo my jedziemy na zbranie na tych proklatych Lachiw, a już późno, my tam już powinni być”. Ukraińiec poszedł z nim na drogę. Odeszli kawalek, wtedy ten Ukraińiec został zastrzelony. Polak szybko wrócił i wszyscy skoczyli pod okna i drzwi. Drzwi podparli kolkiem i wtedy ktoś do mnie powiedział, że będą rzucać do środka granaty, bo tam jest zebranie Ukraińców. Wrzucili te granaty, krew wypłynęła przez próg na zewnątrz domu. Potem wszyscy wsiadli na furmankę i pojechali kawalek drogą w stronę Gnojna. Nikogo wtedy nie widziałem na drodze, było cicho. [...]” Bolesław Sawa z kolonii Ludmiłpol

WSPOMNIENIA BOLESŁAWA SAWA Z KOLONII LUDMIŁPOL W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1935 - 1945

Nazywam się Bolesław Sawa. Mam 85 lat i mieszkam w miejscowości Buśno gm. Białopole pow. Chełm. Urodziłem się 27 maja 1927 r. w miejscowości Ludmiłpol, gmina Werba, pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu. Rodzice moi to Józef i Zofia Sawa z domu Solak. Ojciec zmarł, gdy miałem zaledwie osiem lat. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Swojczowie. Ze strony ojca nie pamiętam żadnej rodziny. Mama miała dwóch rodzonych braci: Jacka i Józefa. Jacek Solak mieszkał w Uściługu, jego żona miała na imię Agata, ale nie wiem jakie było jej nazwisko rodowe. Pamiętam natomiast ich dwie córki: Marię i Zofię. Drugi brat mamy Józef Solak mieszkał na Korczunku, albo na Fundumie. Nie znam nazwiska rodowego mojej drugiej wujenki, żony Józefa Solaka, ale pamiętam że mieli dwoje dzieci: córkę Helenę i syna Stanisława.

Nie pamiętam też, abyśmy kiedyś jeździli w odwiedziny do moich wujków. Pamiętam jedynie, że do nas do Ludmiłpola, przyjeżdżali obaj wujkowie, ale częściej bywał wujek Józef. Przyjeżdżał saniami zimową porą, zostawał na noc, a drugiego dnia jechał do domu. Była to dość duża odległość, bo przejeżdżał przez Włodzimierz i Uściług. Latem tych odwiedzin nie było, bo było daleko i każdy miał dużo roboty w domu. Po wojnie też nie odwiedzaliśmy się. Jak dowiedziałem się, gdzie oni mieszkają, miałem już swoją rodzinę i dużo roboty w polu. Nie było czasu na wyjazdy. Byłem tylko z najstarszą córką Krystyną na pogrzebie wujka Jacka. Była to jesień 1968 r., albo wiosna 1969 r.. Obaj bracia mamy szczęśliwie przeżyli wojnę, a po jej zakończeniu osiedlili się w miejscowości Łuszków pow. Hrubieszów. Obaj już nie żyją, spoczywają na cmentarzu parafialnym w Horodle.

Było nas czworo rodzeństwa. Najstarszy brat Stanisław, był już żonaty i miał swoją rodzinę. Żona jego Maria pochodziła z polskiej wsi Oseredek z domu Ziobrowska, bądź Zebrowska. Mieli oni troje, albo czworo dzieci. Starsi chłopcy mieli na imię: Heronisław albo Hieronim i Czesław. Tego młodszego dziecka, albo dwojga imion nie pamiętam. Siostra Helena również była mężatką. Jej mężem był Marian Mikuś, który pochodził też z kol. Ludmiłpol. Jego ojciec był kowalem w naszej kolonii. Mąż mojej siostry, a mój szwagier został wzięty do wojska do rezerwy, nie pamiętam dokładnie w jakim to było okresie, czy to było przed wybuchem wojny, czy zaraz po jej wybuchu. Nie wiem, co z nim się stało, ślad po nim zaginął. Mieli oni malutką córeczkę, która zmarła przed wybuchem wojny. Została również pochowana na cmentarzu w Swojczowie. Brat Waclaw był starszy

ode mnie o 3 lata. Ja byłem najmłodszy z rodzeństwa. Moja matka chrzestna miała na nazwisko Liśkiewicz, imienia nie pamiętam, a ojcem chrzestnym był Franciszek Majcherski.

WOŁYŃSKA MOZAIKA NARODÓW I KULTUR

Nasza miejscowość to była kolonia, na której przed wojną mieszkali Polacy i Niemcy, ale przed jej wybuchem Niemcy wyjechali, a na ich miejsce nasiedlono Ukraińców. Rodzice moi mieli duże, jak na owe czasy 24 - hektarowe gospodarstwo. Z tego 6 ha ojciec zapisał najstarszemu bratu Staszewi, który mieszkał po drugiej stronie drogi. Tam pobudował mieszkanie. Siostra Helena mieszkała razem z nami w rodzinnym domu. Z tego co pamiętam, po śmierci ojca, w gospodarstwie pomagali nam mieszkańcy naszej miejscowości, w tym: Zygmunt Szyrma, który był szwagrem dla Władysława Zielińskiego, Juliusz Pic i Franciszek Giemza. Na pozostałych 18 ha było co robić, ale mieliśmy cztery konie, więc dawaliśmy radę.

Naszym najbliższym sąsiadem z okresu przedwojennego był Niemiec Miller. Był to dobry człowiek. Zresztą jak mieszkali Niemcy, to można było zostawić na polu pług, brony, czy niewysiane zboże i nigdy nic nie zginęło. Można było zostawić otwarte drzwi do mieszkania. Niemiec przyszedł, zobaczył, że nikogo nie ma w domu, wychodził na podwórko i wołał. Miller, jak wysiedlali Niemców, a było to zimową porą, przyszedł do nas do domu i pożegnał się z nami. Zupełnie inaczej było jak przyszli Ukraińcy. Nie wiem skąd ich nasiedlono. Z pola trzeba było wieczorem wszystko zabierać, a i w obejściu, jak na widoku zostały, jakieś narzędzia np. siekiera, widły, czy łopata, to ginęły.

Jak wcześniej wspominałem, w domu zawsze było dużo roboty, tak że ja nie bywałem w okolicznych miejscowościach. Taką sąsiednią wioską dla przykładu, była Poczekajka na której mieszkali, zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Nasze pola łączyły się także z działkami, należącymi do mieszkańców Kohylna, do którego drogą było około 3 km, dużej wsi ukraińskiej, polskich gospodarzy, było tam b. mało. W okolicy był także las i tartak, do tego lasu b. lubiłem chodzić na jagody.

Bywałem w kościele w Swojczowie do którego, było ok. 8 km drogi. Ale jako młody chłopak nie bardzo zwracałem wtedy uwagę na wystrój kościoła, ani na jego otoczenie. To i teraz trudno spamiętać, już nawet proboszcza księdza Franciszka Jaworskiego. Nie pamiętam też, żadnych znajomych ze Swojczowa. Pamiętam jednak że w ołtarzu głównym, był obraz Matki Bożej Siewnej, który otoczony był specjalną troską i modlitwą wiernych. A gdy w końcu sierpnia 1943 r. banderowcy wysadzili i spalili naszą świątynię do cna, obraz nasz dzięki łasce Bożej Opatrzności, ocalał i dziś znajduje się w Otwocku pod Warszawą. Pamiętam także, jak podczas nabożeństw, gromko śpiewał nasz parafialny chór. W kościele bywaliśmy z okazji większych uroczystości. Jeździliśmy wtedy furmanką, a w zimie, jak był śnieg saniami. Naturalnie **ateizm na Ziemi Wołyńskiej, był zupełnie nieznany, ludzie głęboko żyli wiarą swoich przodków i ciężką pracą, po temu wieś wołyńska, bogata była w piękne tradycje religijne i patriotyczne.**

Pamiętam niektóre zwyczaje świąteczne, które panowały w moim domu. Specjalnie uroczystość przeżywano Boże Narodzenie, pewnie po temu, że to święta o klimacie wybitnie rodzinnym. Była żywa choinka z lasu i były ozdoby choinkowe, które my dzieci robiliśmy, nawet ze słomy, takie łańcuszki. Do chaty zaś przynoszono i stawiano w kącie króla. Na wigilię obowiązkowo była kutia, to taka potrawa przyrządzana z ziaren pszenicy i maku. Najpierw pszenicę trzeba było utłuc w takim drewnianym stępie. W czasie posiłku gospodarz domu nabierał łyżką, tej kutii i rzucał w sufit. Ilość przyczepionych do sufitu ziaren symbolizowała, późniejszy zbiór w

czasie żniw, tzn ilość kop zboża. Po domach chodzili i kolędownali kolędnicy, do nas też zachodzili, ale ja jakoś nigdy się nie wybrałem kolędować. Natomiast **na Wielkanoc, gospodarze ze mszy rezurekcyjnej wracali do domu na wyścigi, kto szybciej wrócił, miał szybciej zebrać zboże z pól.** Kurom w ten dzień dawano jeść w powrósle, sypano im zboże w obrębie tego splecionego ze słomy powrósła. Miało to zapewnić trzymanie się kur domu, nie chodzenie do sąsiednich zagrod.

Z innych dorocznych uroczystości religijnych, chciałbym jeszcze wspomnieć Zielone Światki, kiedy nasze wołyńskie chaty, stroiło się zielonymi gałązkami, a zawsze miało to swój b. specyficzny i niepowtarzalny klimat. Warto powiedzieć także słowo o naszych wołyńskich majówkach. Nabożeństwa majowe podczas których uroczyste śpiewano litanię ku czci Najświętszej Maryi Panny, organizowane były w Ludmiłpolu na placu szkolnym. **Ludzie stawiali prowizoryczny ołtarzyk, na nim obrazek i kwiaty, a potem wspólnie śpiewali litanię, ku czci Matki Najświętszej. Podobnie czyniono w czerwcu, gdy śpiewano nabożeństwo czerwcowe, ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa.** Ludzie na te spotkania przychodzili w różnej liczbie, bywałem tam niekiedy i ja.

Pamiętam, że koło naszego domu, do kościoła na odpust Matki Bożej Siewnej, który odbywał się 08 września w Swojczowie i był bardzo uroczysty, przechodzili ludzie z innych miejscowości, m.in. z Barbarówki. Często odpoczywali na naszym podwórku. Mama wtedy wносиła im życzliwie, coś do jedzenia i picia. Pamiętam, że jedną z takich pielgrzymujących, starszych ode mnie dziewcząt, była Kazimiera Zielent lub Zelent z kolonii Barbarówka. Z czasów kiedy mieszkałem w Ludmiłpolu, zapamiętałem także, że przez naszą kolonię raz, nieraz dwa razy w miesiącu przejeżdżali ułani, albo szła piechota – polscy żołnierze z jednostki z Włodzimierza Wołyńskiego. Był to piękny widok, bo oni zawsze przejeżdżali, albo przechodzili ze śpiewem. Raz szli, innym razem jechali od strony Kohylna w stronę Gnojna. Ludzie wtedy wychodzili do drogi i patrzyli, a często też rozmawiali z żołnierzami.

W naszej kolonii była szkoła, do której chodziły dzieci zarówno z kolonii Ludmiłpol, z Poczekajki i z Oseredka. To był drewniany budynek, który stał mniej więcej na środku Ludmiłpoła. Ze mną do klasy chodziła córka Władysława Zielińskiego, Janina. Ze starszych klas pamiętam Julka Pica, Franka Giemzę oraz z Poczekajki: Dębickiego, imienia nie pamiętam. Z czasów kiedy chodziłem do szkoły, to kolegów miałem jedynie w szkole. Po szkole nigdzie za bardzo nie chodziłem. Gospodarka była duża i zawsze było dużo roboty. W szkole uczyła nas nauczycielka, ale dziś już nie pamiętam jej nazwiska. Nie pamiętam też, abyśmy mieli organizowane jakieś wycieczki, albo inne rozrywki. Pamiętam natomiast b. dobrze, że mój chrzestny **Franciszek Majcherski, często zabierał mnie w niedzielę, przed szkołą na tzw. zajęcia przysposobienia wojskowego.** Na te zajęcia, organizowane przez Majcherskiego, przychodzili chłopcy w różnym wieku. Starszych nazywano „strzelcami” młodszych „orłętami”. Majcherski uczył tych chłopaków maszerować, śpiewać wojskowe piosenki, a starszych także uczył, obchodzenia się z bronią. Do wybuchu wojny, zdążyłem ukończyć 4 klasy szkoły podstawowej. Po wybuchu wojny, nie chodziłem już do szkoły, ale pomagałem w gospodarstwie.

BANDERY DOSTALI BROŃ I SIĘ ZACZĘŁO

Nie pamiętam, aby przed wojną były jakieś nieporozumienia wśród mieszkańców naszej kolonii. Na Wołyniu w tamtym czasie wszyscy żyli zgodnie, zakładali wspólne, mieszane rodziny, obok siebie z powodzeniem gospodarzyli: Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, a nawet Czesi i Białorusini się trafiali. Dopiero jak przyszli Niemcy i Ukraińcy dostali od nich broń, to wszystko się gwałtownie

zmieniło, także i w naszej okolicy. Słyszałem jak starsi mówili, że robi się niespokojnie. Widziałem nieraz, jak brat Wacek rozmawiał ze starszymi chłopakami, którzy u nas pracowali, a byli to Julek Pic, Franek Giemza, ale nie wiem o czym rozmawiali. Był też Zygmunt Szyrma, który był już żonaty. Ja nie byłem takim bezpośrednim świadkiem rozmów o tym, co się działo w okolicy. Teraz myślę, że może mnie wtedy oszczędzali. Nie mówili o mordach, ale słyszałem jak mówili, że Ukraińcy zabrali z naszej kolonii kilku mężczyzn i wywieźli do Świnarzyńskiego lasu. Teraz nie pamiętam już, kogo wtedy wywieźli.

Niektórzy zaczęli wyjeżdżać. Ludzie zaczęli nocować poza domami. Chowali się po stodołach, oborach, kopali schrony. Pamiętam, że mój najstarszy brat Stanisław też mówił o ucieczce, ale mama zawsze powtarzała, że nikomu nic nie zrobiła, nikomu nic nie jest winna, więc dlaczego ma uciekać? Nie wiem, czy pod wpływem słów mamy, czy była też inna przyczyna, brat został. Wiem, że razem z sąsiadem, nazwiska nie pamiętam, wykopali w stodole sąsiada schron. Nie wiem czy w czasie napadu byli w tym schronie i do dziś nie wiem, co z nimi się stało. Najprawdopodobniej wszyscy zginęli, bo nikogo z rodziny nigdy więcej nie spotkałem. Trzeba raz jeszcze podkreślić z mocą, że sytuacja na Wołyniu i w samym Ludmilpolu, zaostrzyła się gwałtownie po tym, jak Niemcy dostarczyli Ukraińcom broń. Banderowcy natychmiast poczuli się ważni i zaczęły się pierwsze napady na polskie rodziny. Groźna sytuacja była również uwarunkowana totalnym brakiem broni, po polskiej stronie, no bo i czym mieli się Polacy bronić, skoro pod ręką nie było nawet granata, pistoletu, o karabinie nie wspomnieć.

Nie pamiętam pierwszej śmiertelnej ofiary rzezi ukraińskiej. W mojej pamięci utkwiał obraz tej strasznej nocy, kiedy zginęli moi najbliżsi, ale i wtedy nie rozpoznałem żadnego z morderców. Ukrainiec Stolaruk był tym, który mówił na targu we Włodzimierzu Wołyńskim, że ja przeżyłem, ale czy brał on udział w napadzie tego nie wiem. Nie pamiętam też, aby przed napadem na nasz dom, wcześniej Ukraińcy nas nachodzili, ale musiało coś być, bo pamiętam noclegi poza domem. W domu spały mama i siostra, a my z bratem Wackiem spaliśmy, albo w stodole, albo na „wyżkach” w oborze. Jeżeli chodzi o rodzinę Władysława Zielińskiego, to oprócz najstarszej córki Władysławy, która zginęła podczas napadu na Ludmilpol razem ze swoimi dziadkami, których imion ja niestety nie znam, było jeszcze kilkoro dzieci: Janina, która chodziła ze mną do szkoły, Fredek, Halina, Jadwiga, Danuta, Kazimierz, Stanisław i Marian. Część z nich urodziła się, już po tej stronie rzeki Bug.

NA LUDMILPOL UKRAIŃCY PRZYSZLI NOCĄ

Napad na naszą kolonię miał miejsce latem, w czasie żniw. Nie pamiętam, który to był rok. Ukraińcy przyszli nocą. Ja z bratem Wackiem spaliśmy na tzw. „wyżkach” nad oborą. Spaliśmy na koniczynie. Brat położył się na brzegu, a mnie kazał położyć się od strony dachu. W domu spała mama i siostra Hela. Ze snu obudziły mnie głosy. Usłyszałem jak Ukraińcy, którzy weszli do nas po drabinie, nakazują bratu schodzić na dół, oraz pytają o mnie. Mnie nie widzieli, ponieważ w czasie snu stoczyłem się pod strzechę dachu. Gdy usłyszałem głosy, leżałem cicho i nie ruszałem się. Brat nic im nie odpowiedział, chciał tylko wziąć czapkę, wtedy jeden z Ukraińców powiedział mu, że nie będzie mu już potrzebna. Jeden z nich powiedział też do pozostałych, że ja już nie żyję. Nie wiem dlaczego to zrobił. Wiem tylko, że wiedział, że ja zostałem przy życiu. Dowiedziałem się o tym przypadkiem po niedługim czasie, gdy byłem na targu we Włodzimierzu Wołyńskim. Byłem wtedy z Władysławem Zielińskim. W tym czasie kiedy kręciłem się po targu, do Zielińskiego podszedł znajomy Ukrainiec z Ludmilpola o nazwisku Stolaruk i zaczęli

rozmawiać. W czasie tej rozmowy powiedział on do Zielińskiego, że ja przeżyłem rzeź. Władysław Zieliński odpowiedział mu, że wie o tym i że ja jestem tutaj na targu i że zaraz przyjdę, wtedy on szybko odszedł.

Ilu było Ukraińców, nie wiem. Gdy tylko zeszli z wyżek na dół do obory, posłyszałem charczenie podobne do zarzynanego zwierzęcia. Podejrzewam, że to właśnie tak charczał mój brat Wacek, którego oni zabili zaraz w oborze. Zaraz też usłyszałem krzyk na podwórku. Ostrożnie zrobiłem małą dziurkę w strzesze i patrzyłem, co tam się dzieje. Zobaczyłem mamę i siostrę, których Ukraińcy wyprowadzili z domu. **One pewnie też już wiedziały, co ich czeka z rąk tych „nocnych gości”, dlatego krzyczały, a może w ten sposób chciały ostrzec nas, nie wiem. Zobaczyłem, że Ukraińcy wrzucają je do studni, która była na podwórku. Nie wiem, czy przed wrzuceniem zostały one zabite, czy też wrzucili je tam żywe.** Po tym mordzie, ja nie schodziłem z tych wyżek, bałem się, czy tam gdzieś jeszcze nie ma Ukraińców. Przesiedziałem w tej koniczynie na tych wyżkach do rana.

Rano, gdy wszędzie było cicho, zeskoczyłem na oborę, bo drabiny już nie było. Obok miejsca, gdzie stała drabina, zobaczyłem na słomie krew. Brata już tam nie było, ale ja jestem przekonany, że to była Jego krew. Nie wiem, co zrobili z bratem. Podejrzewam, że mogli go także wrzucić do studni. W oborze nie było już też, ani koni, ani krów. Wyszedłem chyłkiem z obory i schowałem się za stodołę w zbożu, które było już skoszone i złożone w półkopki. W półkopku zboża przesiedziałem gdzieś do południa. Obserwowałem, co dzieje się wkoło. Widziałem, że Ukraińcy zajmowali się swoimi sprawami. Ostrożnie wyszedłem z tego półkopka i chyłkiem, polami przy miedzach, zacząłem uciekać z tego miejsca. Gdy widziałem Ukraińców pasących krowy, albo jadącego kogoś na rowerze, wtedy czołgałem się, żeby nikt mnie nie zobaczył. W niektórych miejscach rosła reczka, tam można było iść chyłkiem. Kierowałem się na komin cegielni. Wiedziałem, że gdzieś tam jest polska placówka. Szczęśliwie tam doszedłem przed wieczorem.

Trafiłem na oddział, w którym był Franciszek Majcherski i Władysław Zieliński, mieszkańcy naszej miejscowości. Zapytali mnie, co ja tu robię, wtedy im opowiedziałem o napadzie i wymordowaniu rodziny. Dali mi jeść i kazali zostać. Powiedzieli też, że w najbliższy wieczór tam pojedziemy. Tak też się stało. Jeszcze tego samego wieczora pojechaliśmy furmanką na kolonię Ludmiłpol. Wjechaliśmy polami na nasze podwórko od strony Oseredka i zatrzymaliśmy się w pobliżu stodoły. Wszyscy zeszliśmy z furmanki i zaczęliśmy iść w stronę domu. Zobaczyłem wtedy zasłonięte okna w moim rodzinnym domu, a przed domem człowieka, jak się okazało ukraińskiego wartownika. Zatrzymał nas i zapytał o hasło, wtedy jeden z Polaków podał hasło „*Klucz*”. Ukraińiec jeszcze o coś pytał, ale Polak rozmawiający z nim cały czas po ukraińsku, powiedział do niego: „*Ty nas nie strzymuj, tylko pokaż drogę jak dojechać do...., (tu padła nazwa ukraińskiej wioski, której niestety nie pamiętam), bo my jedziem na zbranie na tych proklatych Lachiw, a już późno, my tam już powinni być*”. Ukraińiec poszedł z nim na drogę. Odeszli kawałek, wtedy ten Ukraińiec został zastrzelony. Polak szybko wrócił i wszyscy skoczyli pod okna i drzwi. Drzwi podparli kołkiem i wtedy ktoś do mnie powiedział, że będą rzucać do środka granaty, bo tam jest zebranie Ukraińców. Rzeczywiście słyhać było, jak rozmawiali ze sobą. Wrzucili te granaty, krew wypłynęła przez próg na zewnątrz domu. Potem wszyscy wsiedli na furmankę i pojechali kawałek drogą w stronę Gnojna. Nikogo wtedy nie widziałem na drodze, było cicho.

Nie wiem skąd Polacy wiedzieli o tym ukraińskim zebraniu i skąd znali hasło. Nikogo o to nie pytałem. Nie wiem, czy ta akcja to było pomszczenie śmierci mieszkańców naszej kolonii, czy też zapobieżenie wymordowania Polaków z innej

miejsowości, a może jedno i drugie. Po tych wydarzeniach, nigdy więcej nie byłem w mojej rodzinnej miejscowości. Słyszałem też później od ludzi, że w tę noc wymordowano na naszej kolonii 140 osób. Wśród nich byli też rodzice Władysława Zielińskiego oraz jego najstarsza córka Władzia, która przyszła w odwiedziny do dziadków i została, u nich na noc. Zieliński z żoną i dziećmi wyprowadził się z Ludmiłpola jeszcze przed napadem. Mieszkał na Cegielni pod Włodzimierzem.

BO SZCZE NIE BYŁO ROZKAZA WAS BIĆ

Takie nieludzkie rzezie, które dziś określamy mianem ludobójstwa, banderowcy urządzali Polakom niemal na całym Wołyniu, a nawet i znacznie dalej: na Podolu, Pokuciu, Polesiu, Lubelszczyźnie i nawet w Bieszczadach. Nie inaczej było i w rodzinnych stronach mojej żony Stanisławy z domu Ptak, która również pochodziła z Wołynia, gdzieś z okolic Uściługa. Po wojnie, gdy podczas rodzinnych spotkań z rozzewnieniem wspominaliśmy przedwojenną sielankę, a potem to wszystko, co przyszło, to morze krwi i łez, mówiło o tamtych dniach i wydarzeniach. Zarówno żona, jak i jej krewni często opowiadali, że **w ich stronach banderowcy, także często napadali na polskie rodziny, a celem zawsze było kompletne wymordowanie domowników, rabunek mienia, a potem spopielenie reszty, by nawet ślad nie pozostał, po polskich osiedlach.** Nie wszyscy ulegli jednak, tej nieludzkiej ideologii, tej demonicznej nienawiści. Rodzina żony Stanisławy zdołała uciec przed rzezią, dzięki ostrzeżeniu, jakie otrzymała od znajomej Ukrainki o imieniu Luba. Znała ona b. dobrze polską rodzinę Józefa Ptak i często zachodziła do ich domu z wizytą, ponieważ była koleżanką ze szkoły Stanisławy Ptak, która była jego córką. Gdy w okolicy zaczęło się robić niespokojnie, a nawet źle, przychodziła i mówiła otwarcie do matki Staszki: *„O już wam koniec dziś, koniec Polaki, już was więcej nie będzie.”* **Zapytana następnego dnia, czemu jej czarne wieści się nie ziszczają i na razie nikt się ich nie czepia, powiedziała krótko i wprost: „Bo szcze nie było rozkaza!”** Jednak gdy rozkaz przyszedł i rzeź miała się zacząć, przyszła wcześniej i uprzedziła naszych, tak że zdołali uciec i tak oto wyratowali się od pewnej i strasznej śmierci.

Z CHŁOPAKAMI Z CEGIELNI JEŹDZILIŚMY NA AKCJE

W oddziale partyzanckim byłem przez jakiś czas, może miesiąc albo dwa, dokładnie nie pamiętam. Placówka polska składała się z kilkunastu mężczyzn. Nie znałem ich, oprócz tych dwóch mieszkańców naszej miejscowości. To oni mnie przygarnęli, bo nie miałem gdzie się podziąć, zostałem sam. W dzień jak nie mieli zaplanowanego jakiegoś wyjazdu, to na placówce zostawał jeden człowiek, reszta rozjeżdżała się do domów, ale na noc zjeżdżali się wszyscy. Z placówki wyjeżdżali w teren różnie, czasami w dzień, a czasami w nocy. Mnie zabierali wtedy ze sobą.

Pamiętam taką jedną wyprawę oddziału. Nie wiem gdzie jechali, bo mi o tym nie mówili. Jechaliśmy furmanką, było nas pięć, albo sześć osób i była z nami sanitariuszka. Dojechaliśmy tylko do Werby od strony Gnojna. Byliśmy koło takich dużych zabudowań, może dworskich, był też tam taki duży sad. Wtedy nadleciały samoloty nazywane „*kukuruźnikami*”. Wszyscy zeskoczyli z wozu i skryli się w tym sadzie, gdzie pokładliśmy się na ziemi, a furman podjechał pod taki duży budynek, zostawił tam konie i też uciekł do tego sadu. Z tych samolotów obrzucili nas granatami. Dostałem wtedy w nogi, poczułem ból, gorąco i zobaczyłem przed oczami, jakby stado kolorowych komarów. Jak już samoloty odleciały i wszyscy zaczęli podnosić się z ziemi, ja nie mogłem wstać. Wtedy Władysław Zieliński wziął mnie na plecy i zaniósł na furmankę, tam sanitariuszka oczyściła mi rany i założyła opatrunki. Pamiętam, że oprócz mnie ranny w głowę został partyzant, który miał na imię Jacek.

Nie pojechaliśmy już wtedy dalej, tylko zawróciliśmy na Cegielnię. Kilka dni nie chodziłem, sanitariuszka zmieniała mi opatrunki i jak tylko poczułem się lepiej, zacząłem wstawać. Rany zagoiły się, ale blizny na łydkach zostały.

Pamiętam też ostatnią wyprawę z grupą partyzantów. Jechaliśmy furmanką w nocy, gdzieś w okolice Werby. W pewnym momencie zaczęto do nas strzelać z krzaków, zawróciliśmy w stronę Cegielni na placówkę. Na placówkę nie dojechaliśmy, bo Ukraińcy nas otaczali. Byliśmy już prawie pod Włodzimierzem i zaczęliśmy uciekać, każdy na swoją rękę. Wpadłem na szosę i tą szosą uciekałem przed siebie. Jak się rozwidniło, zobaczyłem tablicę przy szosie i zorientowałem się, że jestem w Uściługu. W Uściługu znalazłem swojego wujka Jacka Solaka, brata mojej mamy. Zatrzymałem się u niego może 3-4 dni. Wujek pracował. Wychodził rano i wracał wieczorem.

U STAWICKICH NA MOCZYSKACH

Po tych kilku dniach wybrałem się do Włodzimierza Wołyńskiego, szukać jakiejś pracy i spotkałem przypadkiem na drodze swojego kuzyna Kazika Stawickiego. Zatrzymał mnie i zapytał, co ja tu robię. Opowiedziałem mu o wymordowaniu rodziny, wtedy on zaprowadził mnie do swojego domu na Moczyskach, gdzie była jego matka i ojciec. W domu jeszcze raz opowiedziałem, co się stało w Ludmiłpolu i że ja zamierzam teraz szukać jakiejś roboty. Wtedy wujek Antoni Stawicki powiedział do mnie: „*Nigdzie nie pójdziesz, co my będziemy jedli, to i ty będziesz jadł, Twoja matka dawno już wypłaciła*”. Nie wiem dokładnie, co to znaczyło. Wiem tylko, że wcześniej kuzynostwo przyjeżdżali do nas do Ludmiłpola.

Pamiętam, że już po śmierci ojca, w okresie tzw. głodnych miesięcy – przednówka, moja mama dawała im zboże. Myślę, że im wtedy pomagała. Od tej pory dom cioci Rozalii i wujka Antoniego Stawickich, stał się moim drugim domem. Przyjęli mnie do siebie, chociaż wujek był chory i nie chodził. W domu wujostwa było dwóch synów. Najstarszy Kazimierz, młodszy Ignacy i najmłodsza córka Helena. **Ignacy w tym czasie służył w Jednostce Żandarmerii Wojskowej w Maciejowie, która później weszła w skład 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej. Kazik był niby w domu, ale jak się później okazało należał do partyzantki. Z czasem i mnie do niej wciągnął.**

U Stawickich na Moczyskach przebywałem, już prawie do końca 1944 r.. Tam też były różne sytuacje, gdzie trzeba było uciekać z domu. Jak działo się coś podejrzanego, braliśmy wtedy chorego wujka na wóz i jechaliśmy, albo do lasu, albo na inną wioskę. Było też tak, że zawracaliśmy, bo okazało się, że do naszej miejscowości zbliżają się nie Ukraińcy, a inni Polacy, którzy tak samo jak i my wyjeżdżali na zwiady.

W tym czasie, jak mieszkalem na Moczyskach, jeździłem z moim kuzynem Kazikiem i innymi mieszkańcami wioski na tzw. zwiady po okolicy. Jako najmłodszego, brali mnie za furmana, a sami byli jako obsługa do dwóch erkaemów, które mieli ze sobą na furmance. Broń miała służyć do obrony w razie zagrożenia. Mnie też dali krótką „siódemkę” na wypadek tego, gdybym został sam i musiał się bronić. Na szczęście nigdy, tej broni nie użyłem.

Pamiętam taki jeden wyjazd. Pojechaliśmy w dzień na ukraińską wioskę Chrypolicze, a stamtąd na polską Kolendów. Wszędzie było cicho i spokojnie. Minęliśmy Kolendów i wjechaliśmy na szosę Uściług – Włodzimierz, wtedy usłyszeliśmy strzały, ale niczego nie widzieliśmy. Przejechaliśmy przez szosę i pojechaliśmy na Moczyska. Później słyszałem od ludzi, że wtedy zostali pomordowani przez Ukraińców Gidulskie. To była polska rodzina z Kolendowa.

Przejechaliśmy I Moczyska i wjechaliśmy do II Moczysk i w pewnym momencie zobaczyliśmy kilkunastu mężczyzn na podwórku u Ludwika Miczałowskiego, a przy płocie uwiązanych 12 koni. Jadący ze mną razem na furmance starsi ode mnie, kazali mi jechać bardzo powoli, tak też zrobiłem. Stojący na podwórku mężczyźni, odwrócili się plecami do drogi, nie zaczepiali nas. Starsi ode mnie koledzy mówili, że to byli Madziary. Tak szczęśliwie nie zaczepiani, przejechaliśmy też III Moczyska i pojechaliśmy jeszcze na polską kol. Wodziniek. Mieliśmy tam znajomych i chcieliśmy dowiedzieć się, co słychać w tamtej okolicy. Wróciliśmy na Moczyska już inną drogą. Takie wyjazdy organizowane były też za żywnością.

TULACZY LOS WOŁYNIAN

W kwietniu 1944 r. zmarł wujek Antoni Stawicki. Został pochowany na cmentarzu na Bielinie. Już po śmierci wujka, pamiętam też jak zostałem zabrany przez Niemców razem z końmi do pracy przy kopaniu okopów. Zbliżał się front i Niemcy najprawdopodobniej przygotowywali się do obrony. Wozilem narzędzia: łopaty, kilofy. Do kopania okopów Niemcy zapędzili starszych, ja miałem za zadanie zawieźć i przywieźć narzędzia oraz pilnować koni. Kopanie okopów odbywało się nocą, były to okolice Werby. Na dzień przyjeżdżaliśmy do Werby na kwaterę. Gdzieś po tygodniu do Werby przyszła moja ciotka Rozalia razem z drugą ciotką Miczałowską, której syn Mieczysław, też był razem ze mną na tych robotach. Udało się wtedy jakoś oddać im konie, bo wartownik niemiecki zasnął. Powiedziałem im też wtedy, że sam też ucieknę.

Za te konie to była potem straszna awantura. Niemiec, który nas nadzorował, jak zobaczył brak koni, strasznie się wściekł. Przyszedł do mnie, tam gdzie spaliśmy i zaczął wrzeszczeć „*gdzie ferdy*” - konie. Udałem głupiego, powiedziałem, że nie wiem, że ja teraz przecież śpię, a koni pilnuje wartownik. Niewiele to pomogło, Niemiec krzyczał, że to sabotaż i chciał uderzyć mnie kolbą karabinu w głowę. Świadkiem tego zajścia, był wtedy sporo starszy ode mnie Polak o nazwisku Kondrat Adolf. Gdy zobaczył, co się święci, szybko poleciał po starszego stopniem Niemca. Ten drugi przyszedł bardzo szybko. Kondrat znał dobrze język niemiecki i to on rozmawiał z tym starszym stopniem Niemcem. Nie bardzo rozumiałem o czym dokładnie mówią, ale ten Niemiec kazał zostawić mnie w spokoju. W tym czasie drogą jechały furmanką zaprzęzoną w dwa konie dwie Ukrainki. Starszy stopniem Niemiec zatrzymał je, zabrał konie z wozem i kazał mi dalej wozić narzędzia do kopania okopów. Jeździłem nimi jeszcze chyba ze dwa dni, nadarzyła się bowiem okazja ucieczki. Był nalot, wykorzystałem więc ten moment. Zostawiłem konie i razem z kuzynem Mietkiem Miczałowskim, skoczyliśmy w zboże, które było na tyle już duże, że można było się w nim skryć. Przeleżeliśmy w nim prawie do końca dnia, a potem uciekliśmy z tego miejsca. Do domu od razu nie poszliśmy, bo baliśmy się, że Niemcy mogą nas szukać.

Na tę stronę rzeki Bug przyjechaliśmy zimową porą 1944 roku. Zamieszkaliśmy w miejscowości Mołodiatycze za Hrubieszowem. Tam mieszkałem u cioci Rozalii do 1950 r.. W lutym 1950 roku ożeniłem się w Kurmanowie ze Stanisławą Ptak. Po niedługim czasie „*za odstępne*” nabyliśmy od innego Polaka, który wyjeżdżał w inne miejsce, niewielkie gospodarstwo we wsi Bušno, gdzie zamieszkaliśmy. Tu urodziło się pięcioro naszych dzieci, cztery córki i syn. Z tej piątki dzieci jedna córka, już nie żyje. Doczekaliśmy się ośmiorgo wnuków i pięcioro prawnuków. Żona moja zmarła 01 lipca 2010 r.. Przeżyliśmy razem 60 lat.

ŚWIADECTWO RODZINY PTAK Z EDWARDPOLA

Znacznie więcej z przeżyć rodziny żony Staszki, zapamiętała nasza córka Krystyna Malec z d. Sawa, która tak to opisała po latach: „*Mama Stanisława Sawa z domu Ptak urodziła się 20 maja 1932 r. w miejscowości Edwardpole, nieopodal Uściługa. Jej rodzice to Jan i Józefa Ptak z domu Łatka. Jak opowiadała mama, jej rodzice mieli pobudowany ładny nowy dom, w którym ojciec nie zdążył jeszcze położyć podłóg, kiedy wybuchła II wojna światowa. Zabudowania były ładnie ogrodzone z dwoma wyjazdowymi bramami, z których jedna prowadziła na drogę, a druga na pole. Ile było tego pola, mama jakoś nie mówiła, wspominała jednak często o dwóch pięknych sadach.*

Rodzina była liczna. Moja babcia Józefa, bardzo wcześnie owdowiała, mając zaledwie 21 lat i malutkie dziecko, córeczkę Feliksę, która przyszła na świat w tę samą noc kiedy umierał jej ojciec, a pierwszy mąż mojej babci. Po jakimś czasie, babcia ponownie wyszła za mąż za wdowca z czworgiem dzieci i sami mieli jeszcze troje swoich własnych: dwóch synów Józefa i Jana oraz najmłodszą córkę Stanisławę. Przyrodnia siostra mamy Feliksa wyszła za mąż, jeszcze przed wojną za Czesława Koczwarę i zamieszkała we wsi Chobultowa, w miejscowości znajdującej się po drugiej stronie Włodzimierza Wołyńskiego. Tam urodziło się ich dwoje dzieci: Maria i Stanisław. Przyrodnie rodzeństwo mamy ze strony jej ojca, to dwie siostry: Janina i Hanka oraz dwóch braci: Kazimierz i Tadeusz. Jako mała jeszcze dziewczynka, nasza mama za wiele nie pamiętała, ale coś tam jej pozostało w pamięci i niektóre wydarzenia, te które utkwiły jej szczególnie w pamięci, to właśnie o nich opowiadała.

Jak zatem żywo opowiadała: w miejscowości Edwardpole, mieszkali zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Wspominała mama, że przed wojną nie było wśród nich nienawiści. Dzieci chodziły razem do szkoły, razem bawiły się, czy też pasły krowy po łąkach i po leśnych polanach. Dopiero później to się zmieniło. Wspominała, że ich sąsiadami była rodzina ukraińska, która miała dwie córki; Lubę i Marusię. Jedna była rówieśnicą mamy, a druga rówieśnicą jej brata Józefa, starszego od mamy o 8 lat.

*Opowiadała mama o takim wydarzeniu, które miało miejsce w jej rodzinnym domu, a związane było właśnie z ich sąsiadami. Otóż w okresie przed Świątami Wielkanocnymi, niestety nie pamiętała roku, **jedna z tych ukraińskich dziewcząt przyszła do nich do domu i tak mówiła: „Już niedługo wam Polakom będzie koniec!”.** Młoda ukraińska dziewczyna mówiła też, coś o świątach i krwawej niedzieli. Moja babcia na te słowa, aż się cała zatrzęsła, ale nic nie powiedziała, lecz w jej sercu zagościł niepokój. Kiedy po Świątach Wielkanocnych, ta dziewczynka znowu przyszła do ich domu, moja babcia powiedziała do niej: „Widzisz Marusiu mówiłaś, że nam już będzie koniec, a my jakoś jeszcze żyjemy.”. Wtedy ona odpowiedziała, bez cienia lęku i zmieszania: „Bo jeszcze nie było rozkaza!”.*

*Pewnie były jeszcze i inne niemiłe wydarzenia, bo opowiadała mama, że jej rodzina, a także i inni Polacy zaczęli nocować poza domem. Wspominała, że niejednokrotnie nocowali w zaroślach na łąkach. Opowiadała też o najazdach na wieś, wtedy uciekali. Wspominała jedno takie wydarzenie, kiedy w czasie najazdu Ukraińców na wieś uciekali z domu. Jej ojciec, a mój dziadek, był już chory i nie nadażał za innymi, kazał im uciekać, ale moja mama z płaczem ciągnęła go za rękę, aby tylko zdążyć przed nimi ukryć się w rowie. **Jak już było bardzo niespokojnie, na noc jechali do pobliskiego Uściługa. Zatrzymywali się w różnych miejscach po dwie, trzy rodziny, czasami nawet więcej. Spali na ziemi, na której rozścielano słomę. Po takim noclegu wracali do rodzinnej miejscowości, aby pracować w obejściu, zbierać żniwa, czy wykonywać inne prace polowe. Z nastaniem zimnych dni takie wyjazdy i***

powroty do domu stały się udręką. Przy czym gdy opuszczali na noc dom, po powrocie zastawali powybijane szyby w oknach, które babcia zatykała poduszkami.

Tej zimowej poniewierki, tych podłych warunków dnia codziennego, które zgotowali nam ukraińscy nacjonaliści, zwani banderami nie przetrzymał nasz dziadzio Jan, niestety zmarł i został pochowany na cmentarzu w Uściługu. Opowiadała mama, że trumnę dziadkowi zrobił sąsiad z desek, które były przeznaczone na niedokończone podłogi. Babcia bardzo płakała po śmierci dziadka także dlatego, że tak ciężko pracował i zostawił wszystko, oprócz tych czterech desek, które posłużyły mu za 'wymarzone mieszkanie'. Sąsiad widząc rozpacz babci, powiedział do niej niezwykle słowa: „nie płaczcie sąsiadko, ja bym chciał mieć taką trumnę” i położył się w niej. W tamtych dniach, gdy brat podnosił rękę na brata podczas, tej demonicznej wojny, słowa te brzmiały, jak proroctwo. I rzeczywiście, możliwe że było to jedno z jego niespełnionych marzeń, bo podobno niedługo zginął. To były straszne dni i noce, czerwone noce na Wołyniu.

Opowiadała mama, że dziadek przed śmiercią, bardzo chciał zobaczyć się ze swoją pasierbicą Felicją. Ponieważ był to bardzo trudny okres i duża odległość, bo to ponad 20 km, babcia nie mogła sama powiadomić swojej najstarszej córki. Wysłała do niej swojego brata Jacka Łatkę, który poszedł na piechotę do Chobułtowej i powiadomił ją o stanie zdrowia jej ojczyrna. Fela z mężem natychmiast przyjechali do Edwardpola, ale gdy wracali, już do swojego domu, po drodze widzieli ślady ukraińskich czynów m.in., w postaci pokrwawionych, rozrzuconych na drodze ubrań. Dziadek w krótkim czasie po ich wizycie zmarł, ale oni na pogrzeb dziadka niestety nie odważyli się, już jechać. Fela chociaż nie była rodzoną córką dziadka, bardzo serdecznie wypowiadała się na temat jego osoby. Zresztą czyni to do dziś, bo jeszcze żyje, mając 92 lata. Mieszka w Sepólnie Krajeńskim, na ziemiach, jak powiadał jej mąż Czesław, które on wyzwał, biorąc udział w walkach m.in. o Wał Pomorski.

Babcia z trojgiem najmłodszych dzieci została sama. Przyrodnie rodzeństwo mamy było już poza domem. Jeden z braci, Tadeusz, poszedł do wojska i później brał udział w walkach na froncie. Do domu powrócił, ale już po zakończeniu wojny. Odnalazł rodzinę, już po drugiej stronie rzeki Bug.

Najstarszy rodzony brat mamy Józef, często przebywał poza domem, tak jak prawie wszyscy mężczyźni w tamtych czasach. Brał udział w tzw. 'samoobronie', a także ukrywał się przed Niemcami, którzy zabierali wszystkich zdolnych do niewolniczej pracy na roboty do III Rzeszy. Nie zawsze to się udawało i czasami musiał wykonywać różne prace na rzecz Niemców np. kopanie okopów, czy też służenie furmanką z końmi, jako tak zwana podwoda. Kiedyś nawet w czasie takich robót, spotkali się z moim tatą i razem uciekli nocą ze stodoły, w której nocowali. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że w przyszłości zostaną szwagrami.

Opowiadała mama o takim zdarzeniu, kiedy musieli uciekać z domu. Zbliżała się noc, a jej brata Józefa nie było w domu. Babcia jak zwykle powiązała tobołki, zabierając najpotrzebniejsze rzeczy i z niepokojem czekali, kiedy on wreszcie wróci. Wrócił bardzo zdenerwowany i głodny. Szybko załadowali na furmankę przygotowane rzeczy, a wśród nich garnek z gorącą kapustą, którą wcześniej babcia ugotowała. Zanim wyruszyli, brat mamy, a mój wujek zapytał babcię, czy może coś zjeść. Babcia pokazała mu garnek z kapustą, ale nie uprzedziła, że kapusta jest gorąca. On w pośpiechu sięgnął łyżką do tego garnka i wziął do ust tej gorącej kapusty, sparzył się i ze złością walnął łyżką o ziemię i w tym czasie zobaczył jedną z sąsiadek, Ukrainkę, która też chciała jechać razem z nami i krzyknął: 'A ta czego tu szuka? Synów wysłała w bandyty, a sama pcha się do Polaków?'. Z miejsca nakazał jej zejść z furmanki. Babcia nic nie mogła na to poradzić, ale zdjęła z nóg buty - walanki i dała tej

Ukraince, bo tamta była w jakimś letnim obuwiu, a to był już śnieg i mróz. Sama owinęła swoje nogi jakimiś szmatami i tak pojechała z domu. Tak też nieszczęsna kapusta, pośrednio przyczyniła się do tego, że wujek nie pozwolił sąsiadce Ukraince, jechać razem ze swoją rodziną. Możliwe że wiedział o tej ukraińskiej rodzinie coś więcej, niż moja babcia Józia.

Pomimo takiej tułaczki, noclegów w chłodzie i niejednokrotnie o głodzie, rodzinie mamy udało się szczęśliwie przeżyć to piekło. Kiedy zbliżał się front i Niemcy wyznaczyli termin zamknięcia mostu na rzece Bug, babcia zabrała ze swojego dobytku, tyle ile pomieściło się na furmance, a do wozu uczepiła krowę i zgłosiła się do odprawy. Niestety krowę Niemcy zabrali nie patrząc na to, że były dzieci. Po przekroczeniu rzeki Bug, rodzina naszej mamy Staszki osiedliła się w miejscowości Kurmanów gm. Białopole pow. Hrubieszów. Już po tej stronie Buga, mama z babcią ciężko zachorowały na tyfus, było to następstwem tułaczki, jaką niedawno przeszły. Jedna po drugiej, leżały po 6 tygodni. Doszły do siebie, ale zdrowie było już nadszarpane. Babcia zmarła po ciężkiej chorobie w 1959 roku i jest pochowana na cmentarzu parafialnym w miejscowości Buśno. Na tym samym cmentarzu spoczywają także dwoje jej dzieci: syn Józef i najmłodsza córka Stanisława, nasza kochana mama, która zmarła 01.07.2010 r..

*W swoich wspomnieniach, mama mówiła o wywożeniu Polaków do Piatydyńskiego i Świnarzyńskiego lasu, z których nikt, nigdy nie wracał. Wymieniała niektóre okoliczne miejscowości, dla przykładu: Puzów, Stęzarzyce, Karczunek, Worczyn, Moczyska. **Mówiła o straszliwych mordach na Polakach: rąbaniu ludzi siekierami, przeżynaniu pilami, przebijaniu widłami. Szczególnie jednak, wspominała mordy dokonywane przez Ukraińców na małych dzieciach.** Nie wskazywała miejsc i dat, mówiła ogólnie: ‘rezuny brali dzieci za nogi i uderzali głowami o mur, albo o drzewo, aż mózg wypływał na wierzch.’. Innym razem dodawała: ‘bulbowcy wrzucali dzieci żywcem do studni’, z **cierpieniem wspominała: ‘wjeżdżali na koniach do wsi i nabijali na widły dzieci i podnosili do góry’. Takie dziecko, które jeszcze żyło, strasznie krzyczało i wilo się z bólu, wtedy mordercy śmiali się i mówili: ‘patrzcie jak się wiję polski orzeł.’.***

Do ostatniego dnia przeżycia te, były straszną traumą dla mojej mamy. Pomimo to, jak wszyscy uciekinierzy zza Buga, często opowiadała o tamtych strasznych czasach. Nie mogła po prostu zapomnieć, nie mogła i nie chciała zapomnieć, Tych wszystkich, którzy zgineli śmiercią męczeńską. Wspominała także swój rodzinny dom, ojca, który został pochowany na tamtej ziemi, ale za nic w świecie nie chciała tam pojechać, nawet wtedy, kiedy było to już możliwe. Po prostu bała się. Ten straszny, głęboki uraz, pozostał do końca jej dni.”.

Wspomnienie o życiu rodziny mojej żony Stanisławy Sawa z d. Ptak, zawdzięczamy naszej córce Krystynie Malec z d. Sawa, która sumiennie spisała, to co nosiła przez lata w swoim sercu. Następnie 25 kwietnia 2013 r. przesłała mailem panu Sławomirowi Tomaszowi Roch, który już w roku 2012 podjął się opracowania całości naszych wspomnień rodzinnych z Wołynia.

WYBACZYĆ TRZEBA A ZAPOMNIEĆ NIE WOLNO

Po wojnie w tej samej miejscowości Buśno, spotkałem też innego, byłego mieszkańca Ludmiłpola, wspomnianego wcześniej Władysława Zielińskiego, który jak się okazało, też zamieszkał po wojnie we wsi Buśno, razem ze swoją żoną Sabiną i z dziećmi. Oboje Zielińscy już nie żyją i są pochowani na miejscowym cmentarzu. Tutaj też widziałem się ze swoim chrzestnym Franciszkiem Majcherskim, który przyjechał w odwiedziny do Władysława Zielińskiego. Był to koniec lat

pięćdziesiątych, albo początek sześćdziesiątych, teraz już nie pamiętam. Rozmawiałem z nim, ale nie pamiętam, gdzie on zamieszkał po wojnie.

We wsi Buśno mieszkało dużo ludzi, którzy przyjechali z tamtej strony rzeki Bug i to z różnych miejscowości. Bardzo często rozmawialiśmy i wspominaliśmy bliskich, którzy zostali tam już na zawsze. Serce bolało i boli nadal, że Oni tam leżą w różnych miejscach i nie mają nawet postawionego krzyża, nikt nie może zapalić znicza na Ich męczeńskich mogiłach. Nie możemy zapomnieć o przeszłości. Jesteśmy winni pamięć naszym matkom, ojcom, siostrom, braciom i niewinnym dzieciom, którzy zginęli męczeńską śmiercią.

Z żoną Staszka b. staraliśmy się zbudować ciepły i harmonijny dom, zbudowany na wartościach chrześcijańskich i na tych tradycjach, które przywieźliśmy z Kresów. Patrząc z wdzięcznością i nadzieją na zaangażowanie naszej córki Krystyny w utrwalanie pamięci o przeszłości, ufam że trochę się to udało. Potrafiła nie tylko spisać nasze wspomnienia rodzinne, ale w lutym 2012 r. nawiązała także kontakt mailowy z historykiem, który podjął się ich opracowania. W czerwcu 2012 r. odważyła się nawet pojechać na Wołyń i była w mojej rodzinnej miejscowości na Ludmiłpolu. Spotkała tam ludzi, którzy dobrze pamiętają okres przedwojenny i naszą rodzinę Sawów, ale okazuje się, że pomimo tylu lat duch wojny, wciąż unosi się nad tym łez padołem, boją się i nie chcą za bardzo mówić. Odniosła wrażenie, że albo się czegoś obawiają, albo po prostu wstydzą. Zdobyła dla przykładu informacje o rodzinie Tymoczko, o której wcześniej czytała we wspomnieniach, opublikowanych w internecie. Okazało się, że cała rodzina przeżyła napad na Ludmiłpol, nikt nie zginął, a dwie siostry Władysława i Helena mieszkały przez te wszystkie lata w Ludmiłpolu, obok siebie, po sąsiedzku. Rozmawiała osobiście z panią Heleną i ma zrobione z nią zdjęcie. Widać więc na tym przykładzie, że nie wszystko stracone, jeszcze żyją oto bowiem ludzie, którzy zawsze mogą udzielić nam informacji o naszych najbliższych, ale trzeba szukać i trzeba działać, gdyż czas pędzi nieubłaganie naprzód, ku swemu przeznaczeniu.

Po temu cieszyłem się, gdy mogłem 19 lipca 2012 r. gościć w swoich skromnych progach w Chełmie historyka pana Sławomira Tomasza Roch. W trakcie tego krótkiego spotkania, starałem się odpowiedzieć na możliwie wszystkie pytania, naturalnie z pamięcią w tym wieku, bywa już różnie. Ostatecznie owocem żmudnej pracy mojej córki Krystyny i pana Rocha są wspomnienia, które zostały nam przesłane drogą mailową i które były mi przeczytane. Moja córka Krystyna, tak odpisała 25 kwietnia 2013 r. autorowi opracowania panu Rochowi, także w moim imieniu: *„Bardzo dziękuję za piękne opracowanie wspomnień mojego taty i słowa uznania pod moim adresem. Czuję się zakłopotana, ponieważ ja szanowny panie Sławku nie zrobiłam nic ponad to, co było moją powinnością. Ja tylko spełniłam swój obowiązek wobec swoich rodziców, przede wszystkim swojego taty i części bestialsko wymordowanej rodziny. Opracowane wspomnienia nie wymagają poprawek, są wiernym odzwierciedleniem relacji taty, oczywiście biorąc pod uwagę upływ czasu. W załączeniu przesyłam spisane już wcześniej, a oparte na wspomnieniach mojej mamy, losy jej rodziny z okresu wojny. Obecnie większość dnia spędzam w szpitalu przy łóżku taty. Serdecznie pozdrawiam i pamiętam o modlitwie.”*

Naturalnie nie jest łatwo wybaczyć, gdy się jest naocznym świadkiem wymordowania własnej rodziny i to jeszcze w tak drastycznych okolicznościach. Straciłem praktycznie wszystkich mi najbliższych, tragedia to wielka i ból serca ogromny, ale zarazem wiem, że przebaczyć trzeba, że to jedyna właściwie droga. Prawdziwe pojednanie wymaga jednak, ujawnienia całej prawdy o tym ludobójstwie, nie może być bowiem tak, że dziś zbrodniarzom stawia się na Ukrainie pomniki czci i

chwały, a kości dziesiątków tysięcy ofiar, wciąż nie zostały godnie upamiętnione. Noszę w sercu żywą nadzieję, że te niezliczone zastępy Męczenników Wołynia i Kresów, wyproszą nam przed tronem Boga, tę łaskę miłosiernego spojrzenia, zarówno na niewinne ofiary, jak i na często bezlitosnych katów. Tylko miłość może wybaczyć, tylko miłość może pojednać i tylko ona może zbawić, mieszkających po tej i po tamtej stronie rzeki Bug. Miłość która zawsze współweseli się z prawdą, wszystko przetrzyma i we wszystkim pokłada nadzieję, nad taką miłością słońce nie zachodzi bowiem nigdy.

Bolesław Sawa

NIEDALEKO PADA JABŁKO OD JABLONI

Słowa tego pięknego polskiego porzekadła, przekazywanego z pokolenia na pokolenia, niech będą serdecznym gestem wdzięczności dla pani Krystyny Malec z d. Sawa, córki pana Bolesława. Osobiście bowiem zaangażowała się w to dzieło, z cierpliwością wysłuchiwała i spisała wspomnienia swego ojca, by potem przesłać je do opracowania na mój adres mailowy, pocztą elektroniczną. Jest to prawdziwy dar serca, podarowany własnemu ojcu, który ocalał tym samym od zapomnienia, dzieje własnego rodu na Wołyniu i na pięknych Kresach. Zarazem jest to wdzięczny przykład, jak zbierając wytrwale ziarnko do ziarnka, można utrwalić wiedzę o własnych przodkach, ale przede wszystkim ocalić pamięć o niewinnych ofiarach ludobójstwa na Ziemi Swojczowskiej, na całym Wołyniu i w tylu innych miejscach na Kresach. **Naturalnie praca i zaangażowanie pani Krystyny Malec z d. Sawa zrobiły na mnie głębokie wrażenie, po temu tytułem świadectwa, zdecydowałem się opublikować także naszą korespondencję** (wybraną), by tą drogą dać przykład innym i zachęcić, by odważnie szli w ślady pani Krystyny. A zatem 09 lutego 2012 r. pani Krystyna Malec pisała do mnie pierwszy raz w mailu:

„Witam pana serdecznie! Nazywam się Krystyna Malec, jestem córką Wołyniaka, mieszkańca kol. Ludmiłpol, gm. Werba. Postanowiłam napisać do pana po przeczytaniu, zamieszczonych w internecie, a spisanych przez pana kilku wspomnień ludzi z tamtego okresu m.in. pani Marii Roch. Na wspomnienia te natknęłam się rok temu. Pozwolę sobie na uzupełnienie, tak cennych informacji, dotyczą one poz. D5 - Marian Mikoś. Otóż Marian Mikuś jak podaje mój tata, który ma prawie 85 lat, był mężem jego siostry Heleny. Siostra taty mieszkała wraz z mężem w swoim rodzinnym domu razem z mamą Zofią oraz dwoma braćmi Wacławem oraz Bolesławem. Po przeciwnej stronie drogi mieszkał, najstarszy brat taty Stanisław wraz z żoną Marią z domu Ziobrowska, bądź Żebrowska oraz czwórką, bądź piątką swoich dzieci. W czasie napadu na kol. Ludmiłpol mój tata, był świadkiem śmierci swojej mamy, siostry Heleny i brata Wacława. Widział jak Ukraińcy wrzucali mamę i siostrę do studni, która stała na podwórku. Tej samej nocy najprawdopodobniej zginęła, też cała rodzina najstarszego brata Stanisława. Mój tata przeżył rzeź ukryty w koniczynie na tak zwanych "wyżkach" nad oborą. Szwagra taty Mariana nie było w tym czasie w domu, był w wojsku. Został wzięty do rezerwy. Od tamtej pory słuch o nim zaginął i tata nie wie, co z nim się stało.”

W następnym mailu pani Krystyna pisała: *„Pozdrawiam serdecznie. Jak mówi mój tata, rzeź tę przeżył również Franciszek Majcherski, który był ojcem chrzestnym mojego taty. Z nim widział się mój tata, już po tej stronie Bugu, na początku lat sześćdziesiątych. Również część rodziny Władysława Zielińskiego przeżyła. W napadzie na kol. Ludmiłpol zginęli jego rodzice oraz najstarsza córka Władysława,*

która poszła w odwiedziny do dziadków. Władysław Zieliński wyprowadził się z żoną Sabiną i swoją rodziną, oprócz rodziców, jeszcze przed napadem, w okolice Włodzimierza do Cegielni. Zielińscy po wojnie mieszkali w tej samej miejscowości co i moi rodzice – Buśno, gmina Białopole. Obecnie oboje nie żyją, są pochowani na miejscowym cmentarzu. Mam do pana serdeczną prośbę, jeżeli to możliwe proszę o umożliwienie kontaktu z panem Zbigniewem Rokickim, wnukiem pani Marii Rokickiej z domu Sawa. Na to nazwisko natknęłam się, czytając wspomnienia pani Heleny Wójtowicz z d. Karbowiak. Na końcu tych wspomnień jest informacja od pana, a w niej właśnie to nazwisko. Jest to dla mnie ważne, ponieważ mój tata nie pamięta nikogo z rodziny swojego ojca, być może jest to jakiś ślad. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, ale byłabym bardzo wdzięczna. Podziwiam pana za to co pan robi, aby ocalić wspomnienia oraz zachować pamięć o ludziach bestialsko pomordowanych.”

Naturalnie natychmiast podjąłem z panią Krystyną korespondencję, pisząc 11 lutego w mailu te słowa: Bardzo dziękuję za przesłane informacje, dla byłych mieszkańców kat. parafii Narodzenia NMP w Swojczowie są b. cenne. Wiem, że nie jest łatwo spisać wspomnienia ojca, ale b. panią proszę jeśli to możliwe o jeszcze kilka opisów: o rodzinie Malec, o życiu na Ludmiłpolu, o życiu tuż przed napadem, o przebiegu napadu na wasz rodzinny dom oraz opis ucieczki, a potem kilka słów o osiedleniu się w Polsce. Informacje te postaram się starannie opracować i zamieszczę w książce o parafii Narodzenia NMP w Swojczowie pt: *"Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia"*.

NIE POMARLI CI KTÓRZY ŻYJĄ W PAMIĘCI NARODU

Rozwijałem dalej naszą, owocną korespondencję i już 18 lutego, pisałem: dziękuję za to wyjaśnienie i za nowe, cenne dla nas Swojczaków informacje. Bardzo się cieszę, że spisała pani wspomnienia tata Bolesława Sawa ze wsi Ludmiłpol. Jest to tym bardziej ważne, ponieważ jest on naocznym świadkiem tamtych wydarzeń, a ostatni świadkowie odchodzą z każdym rokiem. Zatem w załączniku przesyłam wzorcowe wspomnienia pana Antoniego Sienkiewicza z kolonii Piński Most, ok. 3 km od Swojczowa. Właśnie te wspomnienia zostały opracowane jako pierwsze, już w roku 2004. I właśnie te wspomnienia wysyłałem do wielu Wołyniaków, rozsianych po całej Polsce. Na podstawie tych wspomnień, wielu napisało własne relacje i przesało do mnie z tego wnoszę, że są przystępne dla czytelnika. Bardzo ważne jest, aby udało się pani zawrzeć, jak najwięcej faktów w podobnym układzie, jak zrobił to pan Antoni Sienkiewicz. Proszę czytać tacie wspomnienia pana Antoniego i pytać po prostu, co w danym czasie historycznym, czy w danym temacie pamięta, można też skorzystać z innych relacji świadków. Bardzo zachęcam, by spisać nieco relacji rodzinnych sprzed wojny, tradycji rodzinnych, ważne są na przykład opisy przeżywania rodzinnych świąt, okolicznościowych spotkań rodzinnych, rodzinne uroczystości kościelne w Swojczowie.

Najważniejszy jest jednak czas poprzedzający napad nacjonalistów ukraińskich na ludność Ludmiłpola i sam przebieg rzezi. **Bardzo ważne są dosłowne cytaty wypowiedzi oprawców, zasłyszane przez ukrytych Polaków, bo w tym momencie, to sami oprawcy pokazują się w swoim zbrodniczym świetle. Ważne są także dialogi rodzinne**, oczywiście wybrane, gdy Polacy zastanawiali się w swoich rodzinnych domach, czy uciekać, czy może pozostać jeszcze, czy wszystko porzucić, czy ratować życie ucieczką. Bardzo istotne są także opisy losów, także innych mieszkańców Ludmiłpola, sąsiadów rodziny Sawa, znajomych, a także członków rodziny bliższej i dalszej, nawet jeśli mieszkali w innych miejscowościach. Często bowiem jest tak właśnie, że przez jedno wspomnienie, odnajdują się ludzie

często zapomniani, zagubieni po zawierusze wojennej. Kiedy jednak piszą potem do mnie, zupełnie tak jak pani Krystyna, powstaje z tego piękna historia, tej dużej i tak polskiej parafii w Swojczowie.

Specjalnie istotny jest dokładny przebieg ucieczki, a także losy rodzinne, po przejściu na zamojszczyznę, czy chełmszczyznę. **Proszę nie starać się spisać na raz dużo, proszę pisać fragmentami, można powiedzieć takimi historiami: "coś się wydarzyło i to właśnie teraz opisuję" - ja to później bez problemu złożę w całość.** Pani Krystyno proszę się nie przejmować, ani stylem, ani formą ponieważ ja radzę sobie w tym temacie i na pewno postaram się, by to dobrze opracować. Naturalnie po ukończeniu pracy, prześlę wspomnienia do pani Krystyny, by mogła się z tą pracą zapoznać. Wysłałem także maila z informacją od pani do pana Zbigniewa Rokickiego, ale niestety nie doszedł i dlatego piszę, by się pani nie zrażała, będę dalej próbować nawiązać z nim kontakt.

21 lutego 2012 r. pani Krystyna pisała: „*Wspomnienia pana Sienkiewicza i pana Szymanka czytałam, znalazłam je wcześniej w internecie. Nie znalazłam natomiast wspomnień pana Świstowskiego. Pytając pana o formę spisania wspomnień taty, chodziło mi o to, czy mam je przesłać w formie papierowej, czy elektronicznej. Rozumiem, że elektronicznej. Niemniej jednak dziękuję za wskazówki, które bardzo sobie cenię. Mam na brudno spisane wspomnienia taty z okresu przedwojennego i sam napad na miejscowość. Jest tylko jeden problem, tata nie pamięta żadnych konkretnych dat. Spróbuję jeszcze spisać wspomnienia z późniejszego okresu życia, jeszcze po tamtej stronie Bugu oraz po osiedleniu się już w 1945 r. po tej stronie.[...]*”.

31 maja 2012 r. pani Krystyna pisała ponownie: „*Witam serdecznie i dziękuję za list. Miałam właśnie do pana napisać i wysłać, to co mam spisane. Dużo tego nie ma, ale dobre i to. Tak się złożyło, że miałam dużo takich różnych spraw, które nie pozwalały mi na skupienie i możliwość pracy w takim zakresie, jak bym chciała. Jest mi niezmiernie miło, że zechciałby pan przyjechać do mojego taty. Jeśli tylko nie przeszkadzałyby panu prace, które mam zaplanowane na lipiec w domu, a które muszę wykonać, to serdecznie zapraszam. Chodzi mi o malowanie i tak dalej. Czekam również na sanatorium, ale powiedziano mi, że prawdopodobnie miałabym je w sierpniu. Zdjęć taty z okresu wojennego nie mam. Jeżeli chodzi o znajomych ludzi z parafii Swojczów, to tutaj w pobliżu, tata nikogo nie zna. W miejscowości Buśno, mieszkało dużo ludzi z tamtej strony Bugu, ale byli to raczej mieszkańcy miejscowości położonych bliżej Bugu. Możliwe, że ktoś był i z tej parafii, ale niestety już bardzo dużo ludzi odeszło do Boga. Serdecznie zapraszam. Pozdrawiam.*”.

U PANA WIESŁAWA NA PIĘKNYCH PAŁUKACH

Wakacje w Polsce, zresztą b. udane, trwały od 16 do 29 lipca. W poniedziałek samolotem Ryanair z Edynburga (EDI), przyleciałem do Poznania (POZ), wylądowałem o 14.20 czasu polskiego. Do Wągrowca przyjechałem pociągiem, a tu klops i żadnego połączenia do Rąbczyna. Jestem urodzonym pielgrzymem, 15 km marszu to pestka, ale właśnie spadła taka ulewa, że kroku nie można było postąpić. Zmieniłem funciaczki na złotówki i wzięłem taksówkę. I pomyśleć, że kiedy mieszkałem i „pracowałem w Polsce” (rok jako nauczyciel historii, potem była redukcja etatów i następne trzy lata, już jako bezrobotny) o taksówce mogłem tylko pomarzyć. O mój kraju, o moja ojczyznę, co Ty robisz z młodymi, zdolnymi ludźmi po studiach i nie tylko? Tak sobie nierzadko, sam do siebie gadam! Kierowca doskonale znał pana Wiesława Kassaka z Rąbczyna, za 50 zł zawiózł pod drzwi samego domu. W drodze okazało się także, że znają go tu wszyscy w całej okolicy

bowiem za 40 lat pracy w miejscowej szkole, należy się pamięć i szacunek. Wizyta była niezapowiedziana, ale pomimo to okazała się b. miłą niespodzianką.

Pan Wiesław mieszka z rodzoną siostrą, która będąc dużo młodszą, założyła własną rodzinę, a on sam pozostał wiecznym kawalerem, obecnie liczy sobie 81 lat i z powodzeniem radzi sobie jeszcze w rodzinnym gospodarstwie. Urodził się 26 września 1931 r. w kolonii Marianówka, gm. Werba, pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu. Rodzice to Józef i Władysława Kasak z d. Zienkiewicz. Począwszy już od pierwszego wieczoru, przez następne dwa dni pisaliśmy z panem Wiesławem wspomnienia z Wołynia, były też zdjęcia i niezapowiedziane wizyty u innych świadków, mieszkających w okolicy. Wspomnienia spisane i otrzymane w tych dniach, czekają na opracowanie.

Pan Wiesław zadał sobie tymczasem trud i udał się do redakcji „*Głos Wągrowiecki*”, gdzie z jego inicjatywy pan Rafał Różak opublikował 30 sierpnia 2012 r. artykuł pt: „*Wspomnienie wołyńskiego mordy*”. W artykule tym, tak opisano moją lipcową wizytę: „[...] *Co jednak ciekawe, dzięki artykulowi, który ukazał się w „Głosie Wągrowieckim”, Sławomir Roch trafił do kresowiaka z naszego powiatu, Wiesława Kassaka. Wspólnie odwiedzili Leokadię Miedzianowską, przekazując jej najserdeczniejsze życzenia od Wiktorii, dawnej koleżanki niedoli. Spotkali się także z p. Bronicką zamieszkałą obecnie w Piastowicach w gm. Mieścisko, a pochodzącej z gromady Ochnówka w powiecie włodzimierskim. Tutaj z kolei spisano historię wymordowania rodziny męża p. Bronickiej. Efekty rozmów i spisane wspomnienia mają pomóc historykowi przygotować obszerną publikację książkową, która ukazać ma się za rok, w okrągłą siedemdziesiątą rocznicę wołyńskiej zbrodni.*”

Pamięć o tych wydarzeniach jest wciąż żywa wśród byłych kresowiaków również z naszego powiatu. Nie wszyscy mogą pogodzić się z faktem, że na Ukrainie oprawcom, którzy organizowali bestialskie mordy, buduje się pomniki, a ocaleni członkowie rodzin wołyńskich nie mogą doczekać się ustanowienia przez Sejm Dnia Pamięci Męczeństwa Kresowian i zezwolenia na postawienie w Warszawie pomnika dla uczczenia dziesiątek tysięcy ofiar wołyńskiego ludobójstwa. [...]”

Naturalnie jestem wdzięczny za tę informację, która dobrze służy całości, pragnę jednak sprostować, że wspomniana publikacja książkowa, wciąż jest w opracowaniu, a nowe relacje napływają z różnych części Polski. Po temu termin publikacji książki pt: „*Prowadź Mario Prowadź Nas męczenników Wołynia*” nie jest jeszcze zanny, natomiast w internecie systematycznie publikowane są wspomnienia kolejnych świadków, przeważnie mieszkańców b. parafii w Swojczowie, ale nie tylko czego dowodem jest wizyta, także u pana Wiesława.

Na koniec pragnę gorąco podziękować za zaproszenie mnie do Rąbczyna, za b. miłe przyjęcie, za udostępnienie noclegu i wszystkie przygotowywane posiłki, a nade wszystko za zorganizowanie prawdziwego objazdu, po pięknych i wciąż tak naturalnych „*pałukach*”. Nigdy nie zapomnę także, gdy 17 lipca wczesnym przedpołudniem w ramach relaksu, wyszedłem na pola, poza gospodarstwem pana Wiesława i tak sobie krocząc, posłyszałem b. głośny krzyk ptaków, których nigdy wcześniej nie słyszałem. Odruchowo poszedłem w tamtym kierunku i na polu w odległości około 400 m, **ujrzałem dwa duże i piękne ptaki, tuż obok siebie, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Nie były to bociany, a na czaple były zdecydowanie za duże, wysokie i miały przydługie szyje. Stałem jak zaczarowany, usiłowałem się wolno zbliżyć, ale one jeszcze tylko kilka razy, wydały z siebie ten mocny i tak charakterystyczny krzyk i poderwały się zgodnie do lotu. Teraz raz jeszcze mogłem się przekonać o ich, jakże okazałych rozmiarach. W rozmowie pan Wiesław wyjaśnił mi potem, że to właśnie słynne polskie żurawie, które mają w okolicy kilka swoich**

gniazd, dodał także że niezwykle trudno jest je podejrzeć, gdyż z natury są niezwykle czujne.

Z WIZYTĄ W LUBLINIE I W CHELMIE

Mając spisana relację pana Wiesława, zostałem podwieziony do Wągrowca, skąd autobusem udałem się do Gniezna, gdyż jest to właściwie: „rzucić beretem”! I w środę 18 lipca o godz. 17.45 pierwszy raz w życiu, niejako z marszu, odwiedziłem monumentalną Bazylikę Wniebowzięcia NMP w Gnieźnie, a zarazem Sanktuarium św. Wojciecha Bp i Męczennika, patrona Polski. Kwadrans później uczestniczyłem we mszy świętej i przyjąłem z radością i przejęciem komunię świętą. Dzięki pewnej grupie zwiedzających zeszliśmy do podziemi i mogłem odwiedzić katakumby, liczące blisko 1000 lat. Naturalnie pstryknąłem masę zdjęć, w tym te najważniejsze przy sarkofagu św. Wojciecha, w miejscu złożenia Dąbrówki, żony Mieszka I oraz na tle historycznych Drzwi Gnieźnieńskich. Następnie przez Poznań i Warszawę dotarłem do Lublina, droga z uwagi na połączenia kolejowe, była dość wyczerpująca, tak czy inaczej przed południem w czwartek, byłem już na miejscu.

Pani Kazimiera Domańska z d. Kaliniak pochodzi z kolonii Ewin, blisko samego Swojczowa, pow. Włodzimierz Wołyński. Jej rodzice to Antoni i Antonina Kaliniak z d. Nosowska. Jeszcze na Wołyniu wyszła za mąż za Stanisława Dobrowolskiego, z tego związku urodziła się córeczka Afreda, która cudem ocalała z rzezi, żyje po dziś dzień i nazywa się po mężu Sadło. Po śmierci Stanisława, którego banderowcy zamordowali podczas napadu na polską kolonię Ewin w sierpniu 1943 r., pani Kazimiera po wojnie, ponownie wyszła za mąż za pana Domańskiego. I właśnie teraz gościłem u Kazimiera i Teresy Szymura z d. Domańska, pod opieką których mieszka także obecnie, wiekowa już babcia Kazimiera. Ta wizyta była krótka, gdyż z uwagi i na wiek i zdrowie pani Kazimiera, możliwe było nagrywanie tylko podstawowych informacji, pewne istotne fakty, dodała także córka Teresa. Zrobiliśmy zdjęcia i po b. miłym przyjęciu, udałem się odwiedzić Sanktuarium Matki Bożej Dobrej Rady w kościele pw. Ducha Świętego, przy Krakowskim Przedmieściu. Jest to moje ulubione miejsce modlitwy w Lublinie, w którym muszę być choćby przez chwilę, ile razy jestem w tym mieście. Potem już prosto na busa i do Chełma. Tym razem w drodze nie było żadnych problemów, ale i odległość mała.

Pierwsze swoje kroki skierowałem oczywiście na Chełmską Górkę, na której wznosi się przepiękna Bazylika Narodzenia NMP, wzniesiona w poł. XVIII wieku i górująca nad całym miastem i okolicą. Jest to zarazem Sanktuarium Maryjne na Górze Chełmskiej. I tu także miałem tą łaskę uczestniczyć we mszy świętej i przyjąć do serca najświętszy sakrament. Po zwiedzeniu Bazyliki i całego zespołu klasztorowego, wspiałem się dziarsko na najwyższe wzniesienie i spod olbrzymiej Figury, podziwiałem miasto Chełm i dalekie okolice, pstrykając z zacięciem fotki. Byłem także w kontakcie sms-owym z panią Krystyną, na której zaproszenie przybyłem do Chełma. Dzięki jej wskazówkom (przebywała w tym czasie w sanatorium), szybko dotarłem pod wskazany adres.

Zostałem miło przyjęty przez Dorotę, córkę pani Krystyny, a potem przywitałem się z samym panem Bolesławem Sawa. Miałem ułatwione zadanie, gdyż spisane przez córkę Krystynę wspomnienia, były dość wyczerpujące. Spodziewałem się jednak usłyszeć, jeszcze kilka ważnych wątków, w okolicznościach rozmowy bezpośredniej ze świadkiem. Poza tym b. cenne było uzyskanie samego nagrania, w koncieście przyszłego montażu filmowego. Gdy miałem już nagranie oraz same zdjęcia, pani Dorota przygotowała specjalnie smaczny posiłek. W b. miłej atmosferze, wdzięczny za przyjęcie i każdą otrzymaną pomoc, pożegnałem się i jeszcze tego

samego dnia na wieczór, busem dotarłem do rodzinnego Zamościa. Tak rozpoczynały się moje prawdziwie, oczekiwane wakacje na zielonym Roztoczu. Przez następny tydzień podziwialiśmy z żoną piękno nieskażonej przyrody, ciesząc się słoneczną pogodą i odpoczywając w roztoczańskiej miejscowości Krasnobród.

ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Powyższe cenne wspomnienia są zatem owocem żmudnej pracy pani Krystyny Malec, córki pana Bolesława Sawa. Ja dokonałem opracowania całości: zebranych relacji, uzupełnień nadesłanych mailem oraz nagrania, które przeprowadziłem ze świadkiem osobiście w Chełmie 19 lipca. Uznałem także za celowe, udostępnić potencjalnemu czytelnikowi treści niektórych listów bowiem są one znakomitym przykładem dla innych, jak łatwo i szybko można osobiście spisać relację własnego ojca, matki lub innej osoby, pochodzącej z Kresów. I tym samym uchronić od zapomnienia, dzieje własnego rodu, lub osób choćby spokrewnionych z naszą rodziną, czy z naszym narodem. A czas jest nieubłagany, zaś treść tego maila, który otrzymałem od pani Krystyny, niech będzie dla wielu zachętą do działania: „*Mój tata Bolesław niestety zmarł 04 maja 2013 r.. Odszedł do Boga w sobotę rano w dzień Maryjny. Skończyła się jego ziemski pielgrzymka i mam nadzieję, że spotkał się już ze swoimi najbliższymi, za którymi tęsknił. [...]*”. Po temu raz jeszcze gorąco proszę, by tam gdzie są jeszcze możliwości spisania przeżyć naocznych świadków na Kresach, by nie zwlekać, ale by to zrobić. **Idą długie, słotne dni jesieni, jest czas by raz jeszcze usiąść przy dziadziu, idą długie, ciepłe zimowe wieczory, gdy siarczysty mróz za oknami, jest znakomita okazja, by raz jeszcze wsluchać się w to, co chce przekazać wiekowa mama.**

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski i ze świata, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanymi mi jeszcze faktów, nadsyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, ta bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Swojczowie.

Powyższe wspomnienia pana Bolesława Sawa zostały opracowane na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych a potem, jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam, już na zawsze w końcu doczekali się, choćby prostego krzyża katolickiego na swojej często zapomnianej, już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch